

Biegnę tam, gdzie mnie potrzebują

✎: Dramaturdzy coraz chętniej opowiadają o kulisach teatru dowodząc, że tam właśnie toczy się prawdziwe życie. Tak jest w „Garderobianym” Harwooda i granym przez panią „Wznowieniu” Wojtyłki. Jak z perspektywy 30 lat pracy wspomina pani swoje wejście do teatru.

ANNA DYMNA: W moim przypadku odbywało się to bezboleśnie. Uczyli mnie wybitni profesorowie, kiedy zostałam ich koleżanką w teatrze, robiłam wszystko, by im dorównać. Co więcej, oni sami mi pomagali.

Czy taka młoda, piękna dziewczyna nie wzbudzała zawiści w oczach starszych koleżanek?

Nie tylko nie wzbudzałam, ale do dziś uważam moje starsze koleżanki, zresztą także kolegów, za największych przyjaciół. To dzięki nim nie popełniłam w życiu co najmniej połowy błędów. Od nich uczyłam się, jak zachować człowieczeństwo, uprawiając tak ciężki zawód. Mogę wymienić tu przedstawicielki różnych pokoleń – Zofię Jaroszewską, Teresę Budzisz-Krzyżanowską.

Czy w zespole powinna pani zdaniem panować hierarchia?

Myślę nawet, że jest konieczna dla prawidłowego funkcjonowania teatru. Kiedy już sami dla siebie jesteśmy mistrzami, kończymy się jako aktorzy. Młody człowiek mając małe doświadczenie boryka się z całym szeregiem spraw. I wtedy starsi potrzebni są jak tlen.

I o wszystkich starszych aktorach ma pani takie dobre zdanie?

Były, oczywiście, wyjątki. Znałam też aktorki, za które się wstydziałam; były ekstrawaganckie, robiły wszystko na pokaz. Dziś nikt już o nich nie pamięta.

Aktorzy często odbierani są jako osoby „na pokaz”.

Intuicyjnie wierzę, że można długo trwać w tym zawodzie pozostając normalnym.

Teraz trudno jednak zachować prywatność w dobie radia, telewizji, kolorowych brukowców.

Aktor o znanej twarzy pełni dziś funkcję człowieka-institucji. Ludzie



JACEK DOMIŃSKI

W niedzielę o godz. 19.00 w Teatrze Na Woli Anna Dymna wystąpi wraz z Aldoną Grochal we „Wznowieniu” – autorskim spektaklu Macieja Wojtyłki. Przedstawienie Starego Teatru z Krakowa zaprezentowane zostanie w cyklu „Małe sztuki z wielkimi aktorami”.

piszą do nas o swoich zmartwieniach, często proszą o pieniądze. A ponieważ uważają nas za ludzi „pięknych i bogatych”, ich prośby nie są wcale takie symboliczne. Ostatnio pewna pani wręcz zażądała ode mnie w liście 6 tysięcy złotych. Nie bardzo mogła zrozumieć, że po 30 latach pracy w teatrze zarabiam jedną czwartą tej sumy.

Jednak są sytuacje, w których warto robić użytek z własnej popularności. Teresa Budzisz-Krzyżanowska mówi, że ma pani duszę społecznika.

Całe życie biegnę tam, gdzie mnie potrzebują i mogę się na coś przydać. Pojawiam się na aukcjach

na rzecz sierot, niepełnosprawnych, wspieram wraz z kolegami budowę hospicjum i szpitala onkologicznego. Jest w tym pewien paradoks, bo z jednej strony uczestnicząc w tych sprawach chce się być anonimowym, z drugiej jednak, by przyciągnąć sponsorów, trzeba się pokazywać w świetle reflektorów. Są ludzie, którzy całe majątki poświęcili niepełnosprawnym. Ja nic nie poświęciłam, tylko swoją twarz i swój czas. Aktorzy są osobami publicznymi i traktowani są przez to trochę jak małpy. Ale przecież i to małpiarstwo można pożytecznie wykorzystać.

Rozmawiał Jan Bończa-Szabłowski